Nr. 19. We Lwowie dnia 11. maja 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Dr. H. Biegeleisen.

SZTUKA DRAMATYCZNA ZA SZEKSPIRA.*)

Wysoki rozkwit poezji dramatycznej przypada zazwyczaj na czas energicznego rozwoju życia narodu.

Dramat może więcej, niż inne formy poezji, zależnym jest od warunków miejsca i czasu. Poeta liryczny szuka w samotności dźwięków dla swoich pieśni; epik zadowala się kołem ludzi, szukających rozrywki w opowieści. Twórca dramatyczny, pragnąc wystawić dzieło swe na światło dzienne, zależnym jest od cudzej woli. Utrzymanie takiej instytucji jak teatr, wymaga poparcia z góry i żywszego zajęcia ludu.

Sztuka sceniczna, niskiego pochodzenia, bytująca pierwiastkowo jedynie ku zaspokojeniu najniższych potrzeb estetycznych, stała się zawodem, który był tolerowany ze względu na potrzeby społeczne, zalecała się tem, że przynosiła zysk i przyjemność, ale czcią powszechną otaczaną nie była. Dopiero wiek odrodzenia podniósł wysoko sztandar sztuki dramatycznej, cieszącej się powszechną wziętością. Królowa sama przyczyniła się niemało do jej rozwoju przez osobistą sympatję, żywioną dla sceny.

W drugiej połowie 16. w. liczył już Londyn 8 teatrów, przy końcu tegoż wieku, ku zgorszeniu purytanów, liczba ta podniosła się do 19. za panowania króla Jakóba przybyło jeszcze 6, a więc w owym czasie, w stolicy Anglji, było teatrów więcej, aniżeli inne stolice posiadają po trzech wiekach z okładem. Aktorowie, otoczeni opieką ludzi i dworu przeciwko zaciętym swoim wrogom, sędziom i duchownym, znajdowali się w położeniu stosunkowo wcale dobrem. Cieszący się większą sławą byli nawet wstanie tyle zebrać pieniędzy, aby się potem zupełnie od sztuki usunąć i na wzór dżentelmenów pędzić życie w spokoju. Takimi właścicielami stali się Edward Alleyn, Ryszard Burbadge, a nawet sam Szekspir.

Jest to niezupełnie słuszne twierdzenie, że za czasów Szekspira publiczność miała skromniejsze wymagania, niż obecnie. To pewna, że zdolniejszą była do uniesień. Chciała przedewszystkiem słyszeć poetę; nie szukała efektów scenicznych maszynerji, lecz umiała się przejąć namiętnością lub dowcipem. Żądała żywej akcji, radości lub bojaźni, burzy lub sielanki, lecz nie optyki ani mechaniki. Brak zakończeń aktów i podziału na sceny w dramatach Szekspirowskich nie jest przypadkowy, ale zawarunkowany ówczesnym stanem sztuki dramatycznej. Ciągłość ta jest naturalnym wyrazem płynności twórczego słowa, które nie chce być sylabizowane. Nawet ta okoliczność, że akcja zmienia często scenę i to na dłużej lub krócej, jest naturalną, gdyż tylko w tych swobodnych, niekrępowanych ruchach zadzierżgają się włókna fantastycznego wątku w obraz pełen życia.

Gmach i urządzenie teatru za Szekspira były barbarzyńsko wyposażone, lecz gorąca wyobraźnia widzów wypełnia sobie wszystkie braki, a zahartowane ich ciała z ochotą znoszą wszelkie niewygody. Najznaczniejszy z tych teatrów, w stolicy Albionu, wznosi się nad brzegami Tamizy, w brudnem, bagnistem miejscu. Jest to »The Globe«, rodzaj niezgrabnej, sześciogrannej wieży, na której szczycie powiewa czerwona chorągiew. Teatr ten ma miejsca po sześć pennów, po dwa, a nawet po jednym pennie — tylko »wolnych miejsc« tam nie znają... Podczas deszczu — co się często zdarza w Londynie — publiczność parterowa, składająca się z rzeźników, piekarzy, kupców, terminatorów i t. p. moknie, nie mając dachu nad sobą. Nie robi sobie jednak nic z tego,

*) Korzystając z uprzejmości Sz. Autora, przytaczamy ustęp niniejszy ze znajdującego się pod prasą dzieła jego o Szekspirze. Dzieło to zamknie podjęte przez Księgarnię Polską wydawnictwo arcydzieł Szekspira w przekładzie najznakomitszych naszych autorów i będzie pierwszą w naszej literaturze próbą objęcia całej twórczości literackiej wielkiego Anglika.

bo kto przyzwyczajony do kałuży, zimna i wszelkiej wilgoci, nie obawia się przeziębienia.

Dla poznania ówczesnych stosunków teatralnych, potrzeba nam przewodnika, a wybieram do tego Tomasza Nash, który w licznych pismach ulotnych z humorem i werwą kreśli obyczaje swego czasu.

Dziś — opowiada — odbędzie się nadzwyczajne przedstawienie, dlatego trzeba spieszyć do teatru. Ceny wstępu podwojono, a niema już prawie trójnogów. (Tak nazywano owe małe stołki, które wynajmuje służba teatralna dżentelmenom za wynagrodzeniem jednego szeląga). Lecz niechaj nikt nie oddaje swoich pieniędzy, zanim nie dostanie trójnoga, gdyż służbie teatralnej ufać nie można. Dlatego ludzie ostróżni każą swoim sługom przynosić ze sobą krzesła. Podłoga pokryta jest słomianemi matami, co tylko w nadzwyczajnych dzieje się wypadkach — zazwyczaj bowiem leżą na podłodze liście lub sitowie. Scena, na której występują artyści, przepełniona widzami; nie można usunąć tego przywileju panów, a ci nadużywają go na szkodę sztuki. Jeszcze nie podniosła się kurtyna, dzieląca nas od publiczności, a oto odgrywa się ciekawe widowisko. Lecą jabłka i drobne kamyczki, miotane na scenę, gdyż tłum zaczyna się niecierpliwić, a dżentelmeni podnoszą od czasu do czasu kurtynę, aby napaści te odeprzeć obelgami, krzykiem lub pociskami wymierzonymi silną dłonią.

Parter nazywa się unterstanders, igraszka słów, nie dająca się przetłómaczyć, oznacza bowiem stojących na dole nisko, a zawiera gryzącą ironję tak stanowiska, jakoteż zdolności krytycznej tych ludzi. Rzeczoznawcy ci i dżentelmeni, właściciele krzeseł, pozostają ze sobą na stopie wojennej.

Zbyt silnie działa piwo, w parterze rozchodzi się przykra woń. Od czasu do czasu daje się słyszeć wołanie: »kadzić jałowcem!« I kłęby dymu, napełniają powietrze. Lecz cicho... sługa teatralny zawiesza na kulisie deskę, na oznaczenie miejsca akcji: »Londyn«. Inny przytwierdza stare tapety, kawałek płótna, przypominający malowane okno, które ma wyobrażać dom. Ten oto człowiek, którego okrywa czarny płaszcz aksamitny, to prolog. W obu lożach, po bokach sceny, znajdują się muzykanci, przeważnie Włosi, stojący w służbie jego królewskiej mości, zawdzięczają zaś swej sztuce bezkarność, oburzającą poważnych ludzi. Ten stary skrzypek, którego tam widzicie, uwiódł młodziutką pannę dworską, lecz sprawę zatuszowano za wstawieniem się kilku wpływowych osób.

Już po raz trzeci zabrzmiały trąby na znak, że się kurtyna podnosi. Wychodzi prolog z gałązką laurową w ręku i zwolna tłum się ucisza.

Teatr przedstawia pstrą mieszaninę: obok młodzieńców z obfitym włosem na głowie kołyszą się łysiny, jak szczyty drzew w lesie. Parter podobny jest do przepaści, znajdującej się pod teatrem, z której na przemian wystają głowy kiełbów, rzeczoznawców i posiadaczy gruntu (przezwiska dawane przez świat dystyngowany gawiedzi), sięgając innym widzom do kolan: nad ich głowami lśni w jasnym blasku słońce czerwcowe i buja z wiatrem mała czerwona chorągiew. Na podłodze leżą resztki uczty gynderów, łupy z pomarańcz i orzechów, odpadki z kiełbas i korki z flaszek. Przekupnie starają się uśmierzyć wrzawę, krzykliwem wołaniem: jabłka! orzechy! wino! liście tytoniu!

Jedni piją, inni grają w karty, a zapach tytoniu i wina napełnia całą przestrzeń i gęsta mgła unosi się po nad otwartym u góry teatrem. Te kurzące tam damy z maskami na twarzy — to obywatelki z City.

Ów człowiek z sztyletem u boku, w czarnym płaszczu, z purpurowymi wyłogami i pstrym pióropuszem na kapeluszu, to Brisk, bohater dnia, obok niego stojący paź napełnia właśnie fajkę swemu panu. Znanym jest powszechnie — oto wyciąga z kieszeni kilka złotych monet i rzuca je między lud, wołając: »do djabła z pieniędzmi!«

W podwórzu biją się o mamonę, on zaś odwijając płaszcz, ukazuje bogaty strój, dmąc dymem w twarz tym, którzy go podziwiają. To nazywa się dobrym tonem.

Cavaliero Shilt, którego wspaniałe, lecz znoszone już ubranie szczególną zwraca uwagę, łotr, kuglarz, nauczyciel dobrych manjer i sztuki szermierskiej, zgrywa melancholijnego panicza, który właśnie w tej chwili kręci wąs i przygładza go złotym grzebieniem, przyglądając się w lusterku, umieszczonem na dnie kapelusza. »Hołota« z instynktowej nienawiści obrzuca ich gradem obelg, które mogłyby wzbogacić nie jeden słownik. Lecą one tam i napowrót, a różnią się chyba tem, że wielcy panowie klną po włosku, kiedy lud odpowiada im rdzenną angielszczyzną.

Tymczasem, gdy ci się tak zabawiają, tracą rzeczoznawcy cierpliwość. Majtkowie, szewcy, terminatorzy, grożą splądrowaniem teatru, i czasem wychodzą rzeczywiście na scenę, aby chłostać aktorów, poniszczyć rzeczy, rozpędzić wszystkich — rok nie mija bez takiego wypadku.

Lecz występuję Burbadge, przepraszając z uległą miną rzeczoznawców.

»Dżentelmeni, wybaczcie to mimowolne opóźnienie, królowa Katarzyna jeszcze nie golona, lecz to nastąpi wkrótce«.

Po tych słowach wrzawa ucicha...

W takiej wrzaskliwej, wszelkich ozdób pozbawionej budzie teatralnej, rozwijał Szekspir płaszcz szkarłatny swej poezji, lśniący od złota i djamentów.

Przedstawienie sztuk, grywanych w teatrze Szekspirowskim tak omawia drugi ze spółczesnych pisarzy, Sydney: Widzicie po jednej stronie Azję, a po drugiej Afrykę. Oto ukazują się trzy damy zrywające kwiaty, musicie więc uważać scenę za ogród, potem opowiadają o rozbiciu

okrętu, musicie więc udawać, że widzicie przed sobą skałę; lecz wnet zniewoleni jesteście mieć tę samą scenę za pole walki, gdyż oto występują dwa wojska, reprezentowane przez cztery miecze i tyleż tarcz. Czasem szafują jeszcze większą rozrzutnością. Zwyczajnie kochają się książę i księżniczka, podróżują po świecie; dostają synka, który wyrasta między obcymi, zakochuje się jak ojciec jego i tak dalej. Wszystko dzieje się w przeciągu dwóch godzin.

Za czasów Szekspira, usiłuje teatr przyjść w pomoc fantazji, która pozostaje główną nauczycielką: mężczyznę pod wąsem, przedstawia za królowę; w jednym akcie przenosi cię na dziesięć miejsc; przeskakuje dwadzieścia lat i pięćdziesiąt mil, a w sześciu statystach widzi dwudziestotysięczną armję.

Fantazja owych czasów znosi to wszystko, bo jest młodą i bujną, a młodość wiele zdoła. I dziś jeszcze chłopiec więcej będzie wzruszony przedstawieniem lichej trupy wędrownej, niż później najpiękniejszem odegraniem sztuki w pierwszorzędnym teatrze.

Tak samo miało się z publicznością renesansu. Poeta na wszystko się odważał, a świeże umysły wszystko odczuwały.

Opuśćmy jednak dziedzinę środków zewnętrznych i zajrzyjmy do wnętrza, poznajmy charakter i kierunek duchowy teatru za czasów Szekspira tak po mistrzowsku odtworzony przez Taina w Dziejach literatury angielskiej.

Najwybitniejszym rysem stanu umysłowego owych czasów, to popuszczenie cugli zupełnej swobody naturze ludzkiej. Człowiek, który teraz jest ułaskawionem zwierzęciem, przed trzystu laty był napół dzikiem. U takich ludzi krew łatwo się burzy i przy najlżejszej sposobności zalewa się twarz rumieńcem gniewu; pięście i wargi zaciskają się, w każdej chwili gotowi rzucić się na swoją ofiarę. Co dzisiaj ma zastosowanie tylko u »motłochu«, w szesnastym wieku odnosiło się także do dworaków. Król, opowiada Holinshed, ćwiczy się codziennie w strzelaniu, tańcach, rzucaniu dzidą, w olbrzymich skokach przesadza rowy, że raz omało skutkiem tego życia nie postradał, a tak namiętnie lubi bijatyki, że w obozie koło Quigues chwycił Franciszka I. w swe ramiona, aby go rzucić na ziemię. Tak nie postąpiłby dzisiaj czeladnik murarski z młodszym towarzyszem. Prostackie ruchy, pieprzne zwroty i lekkie piosnki są na porządku dziennym.

»Perykles« wprowadza na scenę całe plugastwo brudnej knajpy. Widok krwi i bólu nie wzrusza tych ludzi; dwór przypatruje się z lubością walkom niedźwiedzi lub byków i nie wzdryga się wcale widokiem skrępowanych zwierząt, smaganych do krwi. Elżbieta takie razy zadaje pięścią swoim damom honorowym, że rozpaczliwie zawodzą, a w złości wypoliczkuje nawet hrabiego Essex. Jeśli szlachcic uderzy kogoś w obrębie królewskiego pałacu, to odcinają mu ręce i przyciskają do ran rozżarzone do czerwoności żelazo. Takie tylko kary przytłumić były wstanie gwałtowność i poskromić wzburzenie krwi.

(C. d. n.).

---

5)

Dr. FAUST.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

Uderzał dłońmi po kolanach, a czerwony chwast fezu poruszał się w takt nad uchem.

— Jestem zdrów, jak tur, nawet łysina zarosła.

Spojrzeli sobie w oczy, Struś gryzł wargi zawzięcie, nozdrza mu drgały: bronił się, jak mógł, od rozrzewnienia.

— A tu u nas wszystko po staremu! Wicher złamał dwie lipy w ogrodzie i połowę dachu ze stajni zerwał. Podłą mieliśmy wiosnę! burze i ulewy! Czego grad nie wybił, to woda wypłukała. Pisałem o tem do ciebie, jak i o wielu innych rzeczach, ale z listów twoich nigdy nie mogłem zrozumieć, czyś ty moje otrzymywał. Ja czołgałem się po ziemi, tyś biegał w krainie duchów! Ha, ha!...

Zerwał się z krzesła; z rękami w kieszeniach biegał drobnemi kroczkami po gabinecie, zerkając z ukosa na doktora. Z dwojga złego wolał już brednie wybujałego umysłu, niż łzy w oczach nieszczęśliwego ojca. Wiedział, że odrazu w słabą stronę trafił.

— Ha, ha! — śmiał się zcicha, biegając po gabinecie.

Doktór, rozparty w fotelu, z rękami na poręczach, przyglądał mu się z pod przymkniętych powiek.

— Oborski wyjechał?

— Oborski? Gra w karty i czeka na ciebie. Jesteś »curiosum«, dzienniki piszą o tobie, warto cię na wesele zaprosić. Będzie tam stryj panny młodej, też spirytysta, wprawdzie jeszcze nie »curiosum«, ale za to hrabia! Widzisz do czego obcowanie z duchami doprowadzić może!

I drugi kamień, rzucony do ogródka doktora, nie zrobił wrażenia.

— Z kim on się żeni?

— A z Prottówną. Pisał przecież do ciebie.

Doktór wyprostował się w fotelu; oczy otworzył szeroko.

— Z Prottówną? — powtórzył, jakby własnym uszom nie dowierzając.

Ziemia budzi się do życia...

Ziemia budzi się do życia...
Tchnieniem wiosny przebudzona
Zrzuca śnieżne swe okrycia,
W blaskach słońca zanurzona
Wstaje naga, żądna życia...
Wyzwoloną z snu długiego
Ptasząt hufce gdy ujrzały,
Hołd jej niosą — tu z ciemnego
Krzu słowiki zaśpiewały —
Tam skowronek w błękit leci,
Dzwoniąc pieśnią — tam znów płynie
Sznur bocianów — tu szmer nieci
Strumyk, pędząc po dolinie...
Ziemia słyszy owe śpiewy —
Uwielbieniem upojona,
Z zalotnością pięknej dziewy
Do ciepłego tuli łona
Ulubione, martwe kwiaty —
A przytula tak gorąco,
Że aż barw ubrawszy szaty
Rozkwitnęły wonnie, lśniąco...
Rozśpiewała się natura —
Znikła zima już ponura
Przepłoszona czarem wiosny —
Znikły śnieżne płachty śniegu,
W rozszalałym pędząc biegu,
Wody nucą hymn radośny —
Płyną, płyną, płyną tony,
Płoną, płoną barw miljony —

Jak rozkosznie, jakże cudnie —
Tylko w sercach ludzkich grudnie...

Zdzisław.

Z dziedziny społeczno-bjologicznej.

Znakomity uczony Rauber, profesor anatomji człowieka w dorpackim uniwersytecie, ogłosił niedawno studjum bjologiczne, poświęcone miłości pomiędzy osobnikami różnej płci. Przedmiot ten, stanowiący główną oś całej prawie literatury pięknej, zbyt mało bywa rozważany ze stanowiska naukowego. Takie właśnie stanowisko zajął Rauber. Jako bjolog, jest on zdumiony obecną literaturą miłośną, której przeważna część, oparta na fałszywych podstawach i zdradzająca niedostateczną znajomość rzeczy, prędzej może prowadzić czytelników na manowce, niż służyć im za przewodniczkę w życiu. Obawia się on także wpływu żądnego użycia »niestcheanizmu«, będącego rezultatem błędnego pojmowania teorji rozwoju i przechyla się na stronę poglądów, znanego rosyjskiego pisarza Tołstoja, głoszącego wprost przeciwną naukę o zaparciu się i ascetyzmie, którą bjologja potwierdza, jeżeli nie w całości, to przynajmniej w znacznej części.

Miłość, o której mowa, należy do spraw, mających największe ogólne znaczenie, gdyż z jej istnieniem jest połączone trwanie ludzkości. Zdawałoby się tedy, że nietylko coraz gruntowniej poznajemy daną dziedzinę zjawisk, lecz że także zdobyte o niej wiadomości naukowe rozpowszechniamy pomiędzy ogółem. Tymczasem dziedzina ta dzięki postępom innych nauk bjologicznych, została wprawdzie w znacznym stopniu objaśniona, lecz o tem wie jedynie niewielka garstka, szersze zaś masy posiadają p d tym względem wiadomości bardzo powierzchowne.

Struś skinął głową, przyczem chwast fezu zsunął mu się na czoło i znowu na ucho odpadł.

Zaśmiał się z cicha, podrzucił ramionami i splunął w stronę pieca. Arystokratą nie był, ale wzdragał się na związek osła z gazelą, uważał takie małżeństwo za niedobrane. Polę znał od dziecka, Oborskiego zaś poznał bliżej dopiero teraz; miał dla niego w zapasie kilka epitetów, z których każdy malował dokładnie jego naturę, ale żaden nie należał ani do przyjemnych, ani do uprzejmych. To też Struś tylko za oczy szczerze odzywał się o Oborskim.

Doktór znał jej matkę, leczył ją przed dziesięcioma laty. Dziwna była kobieta... Teraz może lepiejby ją zrozumiał... możeby leczył inaczej... Zgasła na jego ręku, a w duszy pozostała mu niewyjaśniona, ciemna zagadka, jakby wyrzut sumienia, tem dotkliwszy, że chora ufała mu bez granic...

Przymknął oczy; wspomnienia zaroiły się w duszy ciepłe, serdeczne. Kobieta młoda, ładna, trochę egzaltowana, posiadała ten czar błogi, właściwy wykwintnym naturom, skazanym na śmierć przedwczesną. Przy niej wracał do młodości i zapału, odgrzebywał w duszy zarodki piękna i dobra, dostrajał się, jak mógł, do czystej, podniosłej natury; tęsknił do niej; długo z nią przebywać nie mógł; nużył go podniosły nastrój, męczyło przebywanie w atmosferze zbyt czystej, trochę monotonnej; ale wracał chętnie, tak jak się wraca do świątyni nie przez religijność, lecz dla ciszy, w której stłumione, zapomniane myśli budzą się i do życia wracają.

A ona?

Nigdy nie miał odwagi odpowiedzieć na to pytanie.

Struś nie dał za wygranę: w dalszym ciągu atakował duchy i spirytystów; bezpośrednio niby nie atakował doktora, drwił tylko z maniaków i od niechcenia, jakby żartem, stawał w obronie zdrowego rozsądku

Rozprawiał raczej z samym sobą, niż z doktorem, który w zadumie zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Przechodząc około biurka, z pod oka spoglądał na jego twarz spokojną, na smutny wyraz twarzy... Zżymał się w duszy! Więc to jest ten zjadliwy, gwałtowny polemista, gwał-

Nie obejmują one wzrokiem dalszych widnokręgów i sądzą, że skala odnośnych wrażeń wypełnia całą treść danego przedmiotu. Podobne są, z małymi wyjątkami, zapatrywania literatury pięknej. Z punktu widzenia przyrodniczego, miłość stanowi przedewszystkiem środek do celu, którym jest zachowanie gatunku, beletrystyka zaś przedstawia ją wyłącznie prawie, jako dar natury ofiarowany w celu uprzyjemnienia życia człowiekowi.

Przyznać zresztą należy, że położenie literatury pięknej w obecnym czasie jest dość trudne. Dawniej już wymagano od niej znajomości historji i filozofji, teraz zaś przybyły do tego nauki przyrodnicze i socjalne. Oczywiście, że gdzie warunków tych brak, tam utwory wspomnianej literatury, o ile w danych wypadkach są w związku z odnośnemi gałęziami wiedzy, nietylko nie przynoszą pożytku, jakiego słusznie od nich się domagamy, lecz są szkodliwe. Szkody są tem dotkliwsze, że w tym razie obejmują one nader szerokie koła, wiadomo bowiem dobrze, że główną umysłową strawą czytającej publiczności są utwory beletrystyczne. Zaznaczyliśmy już wyżej, że te z nich, które są poświęcone zajmującej nas tutaj kwestji, rzadko ujawniają dostateczną wiedzę w zakresie omawianego przedmiotu; przeważnie zaś szerzą błędne pojęcia i w znacznym stopniu przyczyniają się do zwyrodnienia myśli i zepsucia moralnego. Dlatego cieszymy się szczerze z każdej próby popularnego przedstawienia tego, co o miłości powiada prawdziwa nauka, a do takich właśnie prób należy wspomniana na początku praca Raubera *)

*) Fragen der Liebe, eine biologische Studie. 1895.

Według panującej obecnie w bjologji teorji ewolucji płciowe rozmnażanie istot jest w naturze połączone z ich doskonaleniem się; powstają przez to organizmy więcej zróżnicowane i lepiej przystosowane do otaczających warunków. Dzięki kombinowaniu się cech dziedzicznych ojca i matki, a pośrednio i bardziej odległych przodków wytwarzają się coraz inne kombinacje cech, któremi są obdarzone nowopowstałe osobniki. Innemi słowy, nowe pokolenia, rodzące się z danych ustrojów, nie są zupełnie podobne, ani do ojców, ani do matek, lecz posiadają pewne cechy indywidualne. Rozmnażanie płciowe jest więc czynnikiem z m i e n n o ś c i w naturze. Nadto wchodzi w grę działanie doboru naturalnego, które polega na tem, że osobniki, obdarzone zmianami dla nich korzystnemi, utrzymują się lepiej w walce o byt i mogą przekazać te pożyteczne zmiany w organizacji swym potomkom. Drogą ciągłego utrwalania się w szeregu pokoleń podobnych zmian, powstają ustroje coraz lepiej, jak powiedzieliśmy, przystosowanie do środowiska. W rozmnażaniu bezpłciowem, jakiem jest np. pączkowanie u gąbek, polipów i t. p. dobór naturalny również poważną odgrywa rolę przy doskonaleniu się ustrojów, lecz tutaj głównym czynnikiem zmienności są wpływy zewnętrzne, które oczywiście działanie swe wywierają także w rozmnażaniu płciowem. Na podstawie tego, co powiedziano wyżej o kombinowaniu się cech dziedzicznych można przyjąć, że rozmnażanie płciowe, w porównaniu z bezpłciowem, przedstawia wielkie korzyści dla potomstwa. Prócz tego u zwierząt wyższych, odznaczających się pieczołowitością o swe młode, dwoje osobników może lepiej i skuteczniej dbać o nie, niż wtedy gdy cała praca spada na jed-

---

towny obrońca chorobliwych mrzonek, którego dzienniki nazywały blagierem, szukającym rozgłosu i sławy zapomocą drażnienia głupoty tłumów, smutnym okazem zwyrodniałego dekadentyzmu, odurzającego się haszyszem nadzwyczajnych zjawisk, żeby stłumić resztki sumienia i uwolnić się od wszelkich obowiązków.

— To on... blagier... oszust, dekadent?...

Przypomniał jego listy, gwałtowne artykuły w dziennikach.

— Hm, tam może... warjował trochę, ale tu wróci na drogę rozsądku; inaczej być nie może!...

Doktór przypomniał sobie jego obecność, a jednocześnie »zdrowy rozsądek« zabrzęczał mu około uszu.

— Wasz zdrowy rozsądek, to marny płotek, z za którego lada tchórz ciska kamieniami w to wszystko, czego nie rozumie — odrzekł zwolna, z głową opartą na ręku.

Struś zatrzymał się nagle.

— Cha, cha! Więc dobrze, wychodzę z za płota, czyli wyrzekam się zdrowego rozsądku; czy teraz będę godzien usłyszeć o nowych cudach, które światu objawić zamierzasz?

Faust milczał.

— Mów, bo dalibóg znowu za płot się schowam, a żadna siła nie wyciągnie mnie ztamtąd ponownie! Apostołowie nowej wiary powinni dbać o każdego, kto pragnie się nawrócić chociażby przez ciekawość.

Pochylony naprzód, z fezem, zsuniętym na tył głowy, patrzał mu w twarz, złośliwie uśmiechniętą.

W przedpokoju rozległ się dzwonek: doktór i Struś głowy ku drzwiom zwrócili.

Do gabinetu wszedł Oborski, w czarnym garniturze, w białym krawacie; długa twarz o rudych faworytach czerwieńsza była, niż zwykle; włosy rozdzielone akuratnie, układały się w dwa krągłe zęby na czole. Zalatywały od niego jakieś mocne perfumy, od których Struś kichnął głośno, a skinąwszy głową gościowi, znowu po gabinecie biegać zaczął, zły, że mu rozmowę przerwano.

(D. c. n.). *Ostoja.*

nego osobnika. U niektórych ryb np. ojciec strzeże jaj złożonych przez matkę i broni młode przed napaścią nieprzyjaciół (ciernik). Wielką wagę dla potomstwa posiada dobór płciowy; osobniki najsilniejsze, najdzielniejsze, odznaczające się męstwem, pięknością lub innemi jakiemibądź wybitnemi zaletami, mają najwięcej szans zwycięztwa w walce o osobnika drugiej płci, a więc mogą rozmnażać się i przekazywać swe cechy dalszym pokoleniom.

Na mocy tych kilku danych można dokładnie określić pojęcie miłości płciowej. W najszerszem znaczeniu jest to ogół wszystkich fizycznych i duchowych objawów, występujących u osobników różnej płci i mających na celu stworzenie osobnika nowego. Całkowity naturalny okres trwania związku pomiędzy temi osobnikami jest określony przez samą istotę miłości, polegającej na wydaniu i dostatecznem wypielęgnowaniu potomstwa, które mogłoby zwycięzko ostać się w walce o byt i stworzyć z kolei następne pokolenie. Okres ten, zwłaszcza u człowieka, nie jest wcale krótki; przeciwnie obejmuje on wiele lat, to jest czas od chwili rozpoczęcia się związku rodziców, aż do osiągnięcia samodzielności przez nowe indywiduum, trwa więc przez cały okres ich kwitnienia. W państwie ludzkiem przyroda ofiarowała mężczyźnie tylko jedną kobietę, kobiecie zaś tylko jednego mężczyznę. Istnienia prawa tego dowodzi z przekonywającą siłą fakt, że zarówno na całej ziemi, jak i na mniejszych jej obszarach znajdujemy prawie równe ilości męzkich i żeńskich osobników. Mężczyzna i kobieta, którzy zawarli ze sobą podobny związek, nie stanowią już dwóch wzajemnie niezależnych osobników, lecz tworzą układ bjologiczny; rola jego nie polega na zaspokojeniu ich egoizmu, lecz w pierwszym rzędzie ma za cel potomstwo. Bez tego nie byłoby w przyrodzie ani miłości płciowej, ani też dwóch oddzielnych płci. W drugim dopiero rzędzie czynność układu dotyczy także wzajemnego popierania się fizycznego i duchowego jego członków, należy jednak zauważyć, że nawet te wtórne funkcje pośrednio wpływają także na dobro potomstwa.

W zaślepieniu i nieumiarkowanem pożądaniu obiedwie płcie stawiają sobie wzajemnie wymagania niemożliwe do spełnienia, mianowicie, ażeby uniesienie miłośne zachowało pierwotny swój charakter do końca życia. Jest ono wprawdzie bardzo ważnym objawem towarzyszącym miłości, lecz często krótko trwałym i wcale nie stanowi całkowitej miłości płciowej. Para oddana jej ma inne wielkie zadania przed sobą, a biada tym, którzy nie oceniają wielkości i piękności tych zadań, którzy są pozbawieni poczucia odpowiedzialności.

Oczywiście, że w stosunku tak wysoko pojmowanym, któremu przyroda zakreśliła czynności tak ważne, niema miejsca dla wyuzdania. Nauką zaś o przyrodzie nie może szerzyć wyuzdania, chyba tylko jedynie w umysłach nizkich i powierzchownych. Ona to wraz ze swą prawidłowością wnosi do danej dziedziny życia ludzkiego światło opromieniające tę dziedzinę celów, wykazując niezmienność praw tutaj panujących, które poznać jesteśmy zobowiązani.

(Dok nast.). *Drzewiecka*

List Nerwusia do Plotusia.

(Z cyklu poezji prozą: „Łzy i uśmiechy").

Plotusiu, *mon cher!* Ty, który wszystko wiesz, co już jest, i czego jeszcze niema; ty który tyle możesz, przez szybkość, z jaką się przenosisz z salonu do salonu, z klubu do loży, z domowego ogniska za kulisy; ty najpojętniejszy z moich konfidentów, najwierniejszy Piladesie mojej młodości z przynależnościami sprawek naszych; Plotusiu, *mon cher,* przychodzę ci się dziś użalić na losy, na okropną porażkę, jaką poniosłem, przegraną — *irréparable!* powiadam tobie, od świetnego zakończenia moich planów życiowych, odepchnięty, odrzucony, odlany. *lasciate ogni speranza!* Okropność! przychodzę do ciebie ze skargą na przeznaczenie, z prośbą o pomoc twoją, bo przynajmniej opinję załatać bym pragnął, a ty to umiesz, jak nikt, nieraz zatuszowałeś — plamy na mojem słońcu, nieraz odwróciłeś oczy naszego towarzystwa od zaćmienia, w jakie popadłem, *pauvre diable!* Pomnę, ongi, jak to zrejterowałem od owej bogatej mieszczanki na tydzień przed ślubem, gdy jej papa niespodzianie się ożenił, i posagu na razie wypłacić mi nie chciał, a cała wygadana rada kumoszek rozdziawiła na mnie paszczę za mój odwrót, — ty, uratowałeś sytuację ogłosiwszy mnie, jako obrońcę czystości rodu, wobec zbadanej, niepewnej, zaćmionej, trop *nébuleuse,* przeszłości mej niedoszłej oblubienicy. Rynek ucichnął, a salony ci uwierzyły. Swoją drogą, wiesz, co mnie w ogrodzie miejskim spotkało... ale pływałem dalej na powierzchni społeczeństwa i to mi wystarcza. Niestety, dziś grom, który na mnie spada, strzelił z Olimpu, idę na dno, swoi mnie topią, nigdzie ucieczki, ratuj Plotusiu, *mon cher!*

Słuchaj! znasz przecie moje położenie z lat ostatnich; scheda po rodzicach dawno stopniała, nawet to, co siostry nieletniej dojść miało... Mimi w klasztorze została, coby ona na świecie robiła z takiem nazwiskiem, a bez grosza! W białym habicie ładnie jej było, gdym ją poraz ostatni widział, pisano mi, że chorowała na serce i płuca,

ale nie wiem, co się dziś tam dzieje. Dalej, to co mi ciocia Bryzia zapisała utonęło w kieszeniach wierzycieli, którzy mi już jak moskity dokuczali, no, a spadek po dziadzi Guciu też rozpłynął mi się na cudnych wybrzeżach Riviery... Djable! co za wspomnienia! To były czasy! pomnisz te elektryzujące wrażenia sypiącego się złota, pomnisz Miss-Satanellę lub ową rudawą włoszkę z San Remo, lub tę naszą hrabinkę, zwinną, jak jaszczurka! Wszystko legło — *in pace* — jam został, jak Prometeusz, któremu sęp wyjada kieszeni, to jest już wyjadł do szczętu, bo nawet ta bestja Bispilla nogi swe rasowe poplątała na wyścigach i pozbawiła mnie wyczekiwanej nagrody! Pomyśl, że jeszcze ten przeklęty markier w klubie w żywe oczy mi odmówił spółki i wykrył moje interesa, które mnie czas jakiś trzymały na nogach, no, i dalej tam już postać nie mogłem! Na co ja zeszedłem, to strach! Dziwne stworzenie, *parbleu!* Jestem cały jak przetrącony, fizycznie i moralnie, przegrany, spudłowany, zamatowany, wylosowany! Nogi sforsowane wyścigami, piersi przepalone tytoniem, oczy zmęczone binoklami coraz mocniejszemi, myśl ogłupiona ciągłem, naprężonem czekaniem na wyniki bilardowe, loteryjne, posagowe, totalizatorowe, i licho wie jakie, a że fortuna nie bardzo jest na mnie łaskawą, przegrywałem raz po raz na każdym z tych targów, aż już w przysłowie wszedłem — *Pauvre petit!* — mówią, gdy staję do któregokolwiek z powyższych startów. Coś tam jeszcze na mnie ma spaść po jakiejś babci Teosi, ale mi powiedziano: — Nerwusiu, dosyć! albo kuratela absolutna, albo — żona, na której imię się sukcesja zapisze. — Parsknąłem śmiechem i wybrałem — żonę, bo choć to też rodzaj kurateli, ale — *vogue la galère!* Co tam, radę sobie dam z dozgonną towarzyszką, tylko sęk w tem, gdzie znaleść taką, jak kuzynek Zybunio! Biedactwo nigdy nie śmie spytać pana swego: a skąd to się bierze, a gdzie to pan idzie, a skąd to nad ranem wraca, a co to ludzie o panu mówią, a czemu to ten i tamten już się nie kłania, a ów ręki nie podaje? — modli się to tylko do Przemienienia Pańskiego, chudnie, brzydnie i nic a nic nie wie, co się dzieje w koło niej. Naiwnych, ślepych, coraz mniej, *insupportable!* Coraz mniej bogatych dzierlatek na świecie, coraz rzadsze głupiutkie dziedziczki, coraz więcej szarych kur, które porządek trzymają w domu i do tego gdaczą nieznośnie, jak im się co niepodoba! Ciężkie czasy, *mon cher,* nawet kobiety mądrzeją, sondują nasze sumienia, taksują honor, targują się o siebie! Djabeł jakiś podszeptuje im tę samowiedzę i coraz trudniej o coś — bogatego, nieświadomego. Szczęściem, że nie wszystkie takie, boby zanudzić się można na śmierć.

Wiesz, przyjechała teraz w nasze strony ta jasnowłosa — »Wazon, czy kobieta«... pamiętasz tę historję? Tamtego puściła w trąbę i miejsce wolne, ale jakoś pretendenci do tych *pactówconventów* zdala się trzymają, ci, z naszych; będzie musiała sięgnąć niżej... *que faire,* czas leci, nie bez śladów, ale jeszcze znać, że to pokaźna jawnogrzesznica — była. Lecz to nie należy do rzeczy.

Moja opieka, (bo jeszcze żyje), do zagrożonego mego pałacyku sprowadza kolejno całe sąsiedztwo, szeregi dziewic i wdów, abym wybierał. Ale mijało lato, ten osobliwy sezon ratunkowy miał się ku końcowi, a ja, wytrawny portsmen, nic nie upolowałem. Fii! takie to wszystko niesmaczne, niezdarne, brzydkie, nudne! Ta — nie ma rzęs, ta — ma piegi, ta — nie ma wcięcia, ta — ma obrzydliwe nogi i ręce, ta — nie ma włosów, tamta ma krzywy nos — słowem — ma czy nie ma — źle. A wszystko powybierano same poczciwości i cnoty obywatelskie, rodzinne, domowe, wedle tego, żeby było komu mego własnego spadku pilnować! Oh, Plotusiu! *quel suplice!* Zacząłem się buntować, lecz mi powiedziano: — Kuratela nie ma ani rzęsów, ani wcięcia, ale też nie ma piegów, ani krzywego nosa — idź pod kuratelę! — Westchnąłem i zacząłem dalej usługiwać przy stole, w ogrodzie, w salonie tym nudziarskim Danaidom, których nie wyczerpana czystość sumienia miała być tarczą mojej przyszłości — finansowej, przynajmiej tylko, pocieszałem się w duchu. Co tam! niech się co chce dzieje, *rouge et noire!* A! lubiłem ongi brunetki i aniołkowate blondyneczki! wszystko to przeszłość niepowetowana!... *Nessum maggior dolore, que ricordarri!...* Przeszłość tak daleka, jak moja pierwsza przegrana.... wiesz? jeszcze w piątej gimnazjalnej! — która mnie do szóstej nie wpuściła, przeszłość, którą opłakiwałem oto na progu mego pałacyku, w przededniu licytacji!

Aż oto, naraz, gdy już jesień zaczynała mi gwizdać nad uszami, w ostatnim akcie tej komedji, zjawia się nowa osoba, posiadająca wszystko do szczęśliwego dla mnie epilogu, ba! nawet do świetnej apoteozy! Czyste, jak niebo oczy i — dochody; pełną kibić i — kieszeń; swobodny umysł i — stanowisko; żadnych kaprysów ani — krewnych; sama — potrzebuje dozgonnego opiekuna, może wybierać bo — pełnoletnia, słowem — unikat! Przymioty tej dziewczyny nieocenione, jedne stare, drugie młode: ma stare nazwisko, ród, zamek, klejnoty, — młode serce, usta, pragnienia, zmysły, śmiech i chęć do życia. Plotusiu, *hélas!* ona ma i młode myśli i młode poglądy, i młodą odwagę do ich wypowiadnia i — wykonywania! — Wpadła jak bomba, jak zjawisko i na razie nie mogłem wysondować, co to za egzemplarz; śmiała się, biegała wszędzie, jak dzieciak, uganiała po ogrodzie, jeździła konno, huśtała się z podlotkami, rozmawiała z rządcą o gospodarstwie, jak stara kwoka, tańczyła, jak sylfida; lekka, od rana do nocy, była wszędzie, a nigdzie nie pochwytna na dłużej, wesoła lub poważna, praktyczność i zapał u niej, jak groch z kapustą; w głowę zachodziłem, co ona za jedna,

do jakiego rodzaju, gatunku, czy podgatunku należy i jak się do niej brać, żeby ją wziąć? Od czasu do czasu patrzyła na mnie swemi pysznemi szafirowemi oczyma, w których ogniu paliła się w prostej linji odziedziczona duma hetmańska z indywidualną iskrą kobiecej, zalotnej wesołości. Może to nowy rodzaj flirtu? myślałem sobie, to jej uganianie po moim domu, boć przecie musi wiedzieć, że ją tu do obejrzenia przywieziono!

Chwytając więc ową iskrę w jej oczach, poszedłem do szturmu. Na ramię broń! zaatakowałem dziewczynę ze wszech stron znanych mi niewieścich słabostek i czułych strun ich wrażliwości. To dopiero było polowanie — *par force!* to dopiero naganka kłamliwych słówek, miot wystudjowanych międzynarodowych sidełek, podejść, drażnień serca, nerwów, zmysłów, zastraszanie ptaszka, kopanie dołów, zastawianie wników, *que sais-je!* wykazywanie swego folblutu z dumą, obgadywanie drugich dyskretne, jak to ty tylko umiesz, Plotusiu, więc — *pardonne!* niejeden twój koncept powtórzyłem. No, i uganiałem się za nią jak za rogaczem, tom jak na lisa się zakradał, tom czekał cierpliwie na marzący ciąg jej tkliwych myśli, i dawałem ognia wtedy, gdy się zdawała być mniej baczną, tom wojował w tłumie wśród salonu, to na pojedynkę szedłem, gdy wybiegła samotna do ogrodu, aż w końcu, umęczony, znudzony, zniecierpliwiony własnem błazeństwem, porwałem się na krok stanowczy, ostateczny, wyjaśniający położenie wzajemne, no i — spudłowałem! Plotusiu! ten nieoceniony skarb, ten wymarzony ideał, ten cudowny kąsek — z rąk mi uciekł, wyrwał mi się, straciłem go, ominął mnie, nie mam go! desperacja! *mon cher,* zwarjuję! Fatalizm mnie ściga, bo, pomyśl tylko, że obok wszystkiego, to była jeszcze moja kuzyneczka, daleka wprawdzie, no, ale jej zaufanie, a właściwie jej dziadka, starego dziwaka, jej ręka, byłyby oczyściły nieco moją opinję z ciężącej nad nią hipoteki rozlicznych zarzutów, wybryków, nadużyć, *enfin, tu sais!* Przepadło! wyśmiała mnie, wyszydziła, wykrzyczała, i — poprawić mi się kazała! Brrr... Nie zapomnę póki życia tej sceny! Kiedym jej wynurzył moje zamiary, a było to na godzinę przed wieczornemi tańcami, w salonie, gdzie w swej białej, prostej, muślinowej sukni, biegała ustawiając wazony, zrazu była tak zdumioną, że prawie niby zrozumieć nie mogła mej śmiałości. Pasja mnie porwała i złość na nią, więc rzekłem niecierpliwie, a nerwy mi drgały, jak w ataku.

(Dok. nast. *Szczęsna.*

Wiadomości bibljograficzne.

BARANOWSKI MACIEJ TUHAN. O Muslimach litewskich, z notat i przekładów litewskiego Tatara . . . . . wydanie pośmiertne Antoniego Krumana. Warszawa, Gebethner i Wolff, Wilno, J. Zawadzki, 1896, w 8ce małej, str. 72. 30 kop.

JANKOWSKI CZESŁAW. Powiat oszmiański, materjały do dziejów ziemi i ludzi, część I. (pośw. Powiotnikom). Petersburg, nakł. wydawcy, K. Grendyszyński, Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. Anczyca i Sp., 1896, w 4ce, str. VIII. i 391, z mapą, rycinami i podobiznami. 5 złr.

KRASZEWSKI J. I. Lubonie, powieść z X wieku, tom I i II, tanie wyd. (Powieści historyczne). Warszawa, nakł. M. Glücksberga, druk. J. Jeżyńskiego, 1895, w 8ce małej, str. 170 i 153. 50 kop.

LEROY-BEAULIEU PAWEŁ. Państwo nowożytne i jego funkcje (L'état moderne et ses fonctions) przez . . . . . członka Instytutu, prof. Kollegjum francuskiego, wyd. 2gie z r. 1894, przełożył Piotr Malinowski, kand. praw. Warszawa, z Kasy im. Mianowskiego, E. Wende i Sp., druk. K. Kowalewskiego, 1896, 8ce większej, str. 327 3 nl. 1 rub. 20 kop.

LIMANOWSKI BOLESŁAW. Historja Litwy pokrótce opowiedziana. Paryż, nakł. Towarzystwa litewskiego, Chicago III., druk. Zgody, 1895, w 12ce, str. 61, z 2 rycinami.

MIERZYŃSKI ANTONI. Źródła do mitologji litewskiej, część II: Wiek XIV i XV, zebrał, ocenił i objaśnił . . . . . dr. filozofji berlińskiego i filologji petersburskiego Uniwersytetu (Mythologiae lituanicae monumenta). Warszawa, druk. P. Szymanowskiego, 1896, 8ce, str. II, II i 54. 1 rub. 50 kop.

ORZESZKOWA ELIZA. Pieśń przerwana (Bibljoteczka ilustr.). Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, druk. Anczyca i Sp. w Krakowie, 1896, w 16ce, str. 234, z ilustr. J. Maszyńskiego. 1 rubel.

SATKE WŁADYSŁAW. Powiat tarnopolski pod względem geograficzno-statystycznym na podstawie materjałów dostarczonych przez nauczycieli ludowych (Odbitka z III. Rocznika Kółka naukowego tarnopolskiego). Tarnopol, nakł. Kółka, br. Jabłońscy, druk. St. Kossowskiego, 1895, w 8ce, str. 163, z mapą prof. M. Wagilewicza. 2 złr.

ŚWIĘTOCHOWSKI ALEKS. Poeta jako człowiek pierwotny. Kraków, nakł. i druk. Anczyca i Sp., 1896, w 8ce, str. 51.

TCHÓRZNICKI JÓZEF DR. Dla zdrowia ludu: I. Kąpiele ludowe, II. Przygotowania sanitarne w osadach i wsiach. Warszawa, M. A. Wizbek, druk. Towarz. komandyt., 1896, w 8ce, str. III. i 154, z rysunkami w texcie i 4 planami. 1 rubel.

Dziełko zalecone do druku przez Komitet hygieny ludowej.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.